

OLGA PASSIA

NIEDOPOWIEDZENIA



WYDAWNICTWO
PASSIA

Przedmowa

Droga Czytelniczko, drogi Czytelniku,

kiedy będziecie czytać te słowa, wszyscy znajdziemy się w innym miejscu, niż jesteśmy w chwili, gdy ja je piszę.

Życie pędzi jak pociąg, a krajobraz przesuwa się szybko. Zanim więc zdążymy nacieszyć zmysły widokiem lasu, już migają nam przed oczyma osiedla podmiejskie i barwne punkty przemieszczających się samochodów, których kształt w krótkich migawkach nie ma najmniejszego znaczenia. Przez chwilę ważny jest tylko kolor odcinający je od tła, ale i jego sens ulatuje, bo zaraz po horyzont rozciągają się soczyste pastwiska i łąki w ciasnym uścisku z błękitem nieba blednącego u schyłku lata. Niedługo później przyjdą jesień chłodna i dżdżysta albo złota, pełna słońca wplecionego w nitki babiego lata, a po niej zima, mroźna lub jedynie wilgotna. Nie wiemy, co przyniesie jutro, lecz wszyscy ufamy, że będziemy szczęśliwi. Los nie zawsze jest dla nas łaskawy, choć zdarza się, że to nie on decyduje o tym, czy jesteśmy zadowoleni, bo częściej my sami gotujemy sobie zranienia i ból.

„Największym problemem komunikacji jest iluzja, że do niej doszło” – to stwierdzenie George’a Bernarda Shawa, irlandzkiego mistrza słowa, przypomina nam, jak

często błędzimy w labiryntach interakcji przekonani, że mamy zrozumienie na wyciągnięcie ręki. Shaw zauważał, że prawdziwa komunikacja polega na głębokim zrozumieniu drugiej osoby. To wydaje się trywialne, a jednak wciąż powtarzamy te same błędy trące do krwi tkanki, którymi łączymy się z wybranymi ludźmi.

W tym zbiorze przedstawiam historie ludzi, którzy przeżywają trudne chwile, bo zamiast na wyżyny otwartej komunikacji wspinają się na obrosnięty grubym mchem mur niedopowiedzeń. Każdy z nas kiedyś dotarł do takiego miejsca – niektórzy sami je tworzą, innym ukazuje się nagle jak wzniesiona przez otoczenie bariera. Rozmowa i bliskość nieoczekiwanie zmieniają się w narzędzia prowadzące do nieporozumień, a zaufanie – w splot, który łatwo zerwać. Nie rozumiemy wielu wydarzeń ani ich następstw: niektórzy nigdy nie dowiedzą się, z jakiego powodu stracili pracę, inni nie poznają prawdziwej przyczyny zniknięcia przyjaciół, a jeszcze inni nie odkrywają, dlaczego bliska osoba odeszła w milczeniu. Efekty takich przeżyć potrafią prowadzić do głębokich ran emocjonalnych. Możemy się długo borykać z konsekwencjami niewypowiedzianych przez kogoś słów, szukając rozwiązań w terapii, w kieliszku, w snach.

W życiu zdarzają się również słowa, które są nie do powiedzenia. „Lepiej nie mów wszystkiego” – kto z nas nie wymówił albo nie usłyszał czegoś takiego? To nie tylko popularne zdanie, ale także wybór prowadzący do bólu i niepewności. Bo czy naprawdę wolimy się ukrywać za niedopowiedzeniami i liczyć, że ich skutki będą

łagodniejsze dla tych, których pozostawiamy z wygodnym dla nas milczeniem?

Niedopowiedzenia to zbiór opowiadań stanowiących rezultat przemyśleń i emocji, które od dawna we mnie narastały. To podróż przez rzeczywistość, w której niewypowiedziane staje się równie ważne jak to, co wypowiedziane na głos. To próba zrozumienia słów, których nigdy nie usłyszymy.

Pisząc te historie, starałam się uchwycić ich esencję, by poruszyć, zaintrygować i skłonić Cię do refleksji nad życiem i relacjami z innymi. Każde słowo ma znaczenie, a każdy akapit jest zaproszeniem do wspólnej wędrówki przez ludzkie losy i doświadczenia. Zachęcam wszystkich do lektury i wsłuchania się w melodię wygrywaną przez słowa oraz w tę, którą nuci cisza. Odkryjecie w tych opowiadaniach echo ludzkich tęsknot i klucz do zrozumienia tego, co skrywa się w niewypowiedzianych przestrzeniach Waszego serca.

Podróż do dzieci

Piotr oparł głowę na brudnym zagłówku. Na szczęście nikogo prócz niego nie było w przedziale. Miał nadzieję, że tak zostanie. Nie chciał patrzeć na kogośkolwiek. Dwie godziny drogi pozwalały mu się oderwać od życia, zawiesić na chwilę myśli. Był zmęczony i czuł ucisk w gardle. Niedawno usłyszał od jakiegoś człowieka, że myślenie to wybór. Chciał więc wybrać niemyślenie, ale nie potrafił, bo obrazy zalewały mu głowę, tłukły się w niej, biły o pierwszeństwo.

Zamykał oczy i widział stojącą na schodach Iwonę w sukni balowej, kiedy przed kilkoma laty obchodzili hucznie swoją kolejną rocznicę ślubu, a potem ją jadącą z zadyszką i uśmiechem obok niego na rowerze, upominającą go, by nie wrywał się do przodu, następnie klęczącą w ogrodzie, robiącą w ziemi te swoje dziurki i wpuszczającą tam nasiona, sadzonki albo bulwy, z których po jakimś czasie wyrastały kwiaty.

Widział ją dokładnie, jej twarz zdawała się niemal namacalna, ale gdy podnosił ciężkie powieki, wyłaniały się przed nim brudne, zniszczone fotele przedziału jak strasydła zagrażające samotnością. Nie miał pojęcia, dlaczego pociąg był tak pusty. Kiedyś jeździł nim często i zawsze

natykał się na jakichś pasażerów, kogoś, do kogo można otworzyć gębę, albo choćby kogoś, obok kogo można stanąć, byle tylko usłyszeć inny głos.

A jednak dziś odpowiadała mu ta pustka. Wsiadał z zamiarem przespania się, odpoczęcia, lecz nie mógł się wyciszyć, co zaczynało go mocno złościć.

Jakaś niewidzialna ręka szperała w jego głowie, wyciągała na wierzch dawne obrazy niczym zdjęcia i przekładała je przed oczami z zawrotną szybkością, aż mózg ledwie nadążał.

Iwona, a za nią stały ich dzieci, ale nie widział ich wyraźnie, jakby się nie liczyły tak jak ona. Chcąc nie chcąc, musiał się przyglądać jej twarzy.

Znał każdą jej zmarszczkę utworzoną przez lata wokół pięknych, jaśniejących oczu. A potem nagle ujrzał ją taką, jaką widział ją dziś wieczorem: inną, przerażoną nim i sobą. Czuł się winny, że nie uprzedził jej o swoim powrocie, że nie dał jej czasu, by sama zdecydowała, co zrobi z tym, co rozpoczęła.

Mocno potrząsnął głową, by przepędzić obraz, bo ten wydał mu się niereczywisty, niepasujący do całej reszty.

Przez chwilę miał wrażenie, że to był sen, że to wszystko nigdy się nie wydarzyło, a potem uznał, że nawet jeśli się wydarzyło, może nie miało znaczenia.

Ale miało, bo ona nazwała to, co on jedynie zobaczył. Nadała temu znaczenie. Sam widok jej w ramionach innego mężczyzny nie zmusił go do ucieczki, lecz jej słowa już tak.

Dlatego jego życie wywróciło się do góry nogami i pewnie dlatego klucie w klatce piersiowej narastało

z każdym najłżejszym szarpnięciem pociągu. Ostatecznie nie wiedział już, czy ból wstrząsa jego ciałem, czy może to wina od lat nieremontowanych torów kolejowych.

Miał świadomość, że od następnych obrazów będzie zależało wszystko. Że musi odgonić to, co widzi, i zastąpić te wizje innymi. Tak mówił mu ten człowiek jakiś czas temu, ale nie pamiętał, gdzie go spotkał ani co dokładnie powiedział. Tylko tyle, że umysł ma wielką siłę i można nim sterować. Chciał się tego nauczyć, zmylić świadomość, zastąpić złe wspomnienia dobrymi. Uczepić się czegoś, co go uspokoi, zamazać, zniekształcić fakty, cofnąć się w bezpieczną, pewną przeszłość.

Ucieszył się, gdy powieki znów opadły, a on zobaczył Iwonę z miłosnym grymasem, przygniecioną jego ciężarem. A jednak zacisnął z bólu oczy. Coś jeszcze silniej ukuło go pod łopatką. Słowo „przeszłość” zaczęło mu krążyć po głowie. Rozlało się po nim zimnym, bezkresnym morzem. Zadrżał, jakby do przedziału wdarł się arktyczny chłód.

Spojrzał na zewnątrz. Koła turkotały. Nie było tam nic, co przypominałoby widok za oknem, jedynie czarna plama. Jakby ktoś na złość przykleił do szyb czarny papier. Nie było krajobrazu, nie było przyszłości, żadnego światła. Nic. Ciemność. Pociąg widmo.

Chciał sobie przypomnieć, po co się tutaj znalazł, ale w jego umyśle nie było nic prócz pustki.

Wiedział, że nie wolno mu się poddać, i powtórzył sobie w duchu swój plan: jedzie do dzieci, weźmie je do domu. Kiedy Iwona zobaczy ich razem, na pewno zmieni zdanie.

Poczuł się lepiej, jakby w dzieciach leżała cała nadzieja i jakby dzięki nim dało się cofnąć czas, puścić w niepamięć przykre chwile i naprawić to, czego nie można zapomnieć.

Jutro znów będzie dzień, zwykły poniedziałek, rano wróci do domu z maluchami, po południu zajrzy do firmy i jak zwykle zostanie przywitany z szacunkiem. Nikt się przecież nie dowie, jak bardzo został upokorzony. A może do tego czasu wymaże z pamięci to, co zaszło, Iwona odwoła swoje słowa. Gorzkie słowa.

Lokomotywa szarpnęła wagonami i ruszyła. Musiał być jakiś postój, ale przegapił moment, kiedy się zatrzymali. Ale kto? Jacy oni? Przecież siedział całkiem sam w tym pociągu. I sam przegapił wszystko – może całe swoje życie, a może tylko chwilę, w której jego Iwona przestała być jego i stała się kogoś innego. Lecz czy człowiek może w ogóle należeć do kogokolwiek? Rozmawiali o tym w dzień jej czterdziestych urodzin. Ktoś złożył jej życzenia, by była panią swoich marzeń. „A kto miałby nią być, jeśli nie ja?” – oburzyła się wtedy.

Potem on ją spytał, czy nie uważa, że wiążąc się z nim, musiała kiedykolwiek z czegoś zrezygnować. Powiedziała, że nie, że nigdy nie należała do niego, że zawsze była wolna i tylko dlatego mogła go kochać, bo dla niej – podkreśliła – miłość jest miłością tak długo, jak długo stanowi wybór, nie konieczność.

Może gdyby, tak jak zapowiedział, wrócił dopiero w poniedziałek, nic by się nie zmieniło. Może facet, z którym ją zastał, więcej by się nie pojawił w jej życiu, a ona nie pomyślałaby o nim na poważnie. Może...

A jednak coś kazało mu wracać wcześniej do domu. Nawet zadzwonił, gdy dotarł na lotnisko szczęśliwy, że udało mu się zmienić loty.

Odebrała zaspana. Powiedział, że ma słabą baterię i się cieszy, bo właśnie... Wtedy rozmowa się urwała.

– Tak, to on – wyszeptała Iwona, kładąc się z powrotem na łóżku. – Padła mu bateria. Pewnie chciał się podzielić wrażeniami z konferencji. Nic nowego. – Westchnęła. – On zawsze odnosi sukcesy. Znów coś mu się udało.

Było mu obojętne, czy zje kolację z tymi wszystkimi ludźmi, bo nie miał już ochoty na kombinowanie, co zrobić, by ci obcy poczuł się szczęśliwi, ani na zachowanie formy, na uśmiech, wycieranie serwetką ust. Marzył, żeby zobaczyć bezpiecznie śpiące dzieci, usłyszeć ich oddechy i może poczuć zapach zupy, którą Iwona pewnie gotuje dla nich na jutro. Wyobrażał sobie, że maluchy pójdą spać, a oni wypiją po lampce wina, które ukołysz je do snu.

Westchnął ciężko. Jakaś młoda kobieta w czapeczce bejsbolowej otworzyła drzwi przedziału.

– Wolne? – spytała energicznie.

– Nie, zajęte – odciął się. Nie miał siły na życzliwość ani na bycie obserwowanym przez kogokolwiek. Jego życie się zatrzęsło, a w takich momentach nikt nie życzy sobie być pod ostrzałem czyjegoś spojrzenia.

Zatrzasnęła drzwi. Nie domknęły się. Hałas na korytarzu był dokuczliwy, dlatego Piotr zerwał się z miejsca, by zamknąć przedział. Niespodziewanie opadł na siedzenie, kiedy spróbował się z niego podnieść. Poczuł przenikliwy

ból w klatce piersiowej. Tak, miał swoje lata. Zresztą nie był już potrzebny, więc może to i lepiej? Nie chciał już nic innego – pragnął poczuć ten ból jeszcze raz, ale równocześnie się go bał.

*

Zaparkował przed domem i zobaczył światło zapalone we wszystkich pomieszczeniach. Pewnie Iwona znów miała stracha. Lubiła się wprawiać w takie stany. Zdarzało się nawet, że spała przy zapalonym świetle, kiedy jego nie było.

Otworzył drzwi i przemierzył korytarz. Wszędzie leżały porozrzucane ciuchy. Zrobiło mu się gorąco i nieswojo. Zwątpił, że wszedł do własnego domu, ale na podłodze leżały części garderoby należące do jego żony. Walały się zmieszane i jakby zawstydzone obok nieznanym mu męskich ubrań. W pierwszym odruchu chciał uciec, zrobił już krok w tył, lecz krzyknął:

– Iwona! Iwona... – Głos skurczył mu się nagle jak orzeszek w niedopasowanej łupince. Za mały, zdeformowany, należący do innej skorupki. Poczuł, że nie jest u siebie, a potem to uczucie się nasiliło jakby dyktowane przez kogoś, kto wdarł się tu i pozbawił go mocy.

Usłyszał dziwny szelest, ale to była jedynie zapowiedź. Później rozległo się chaotyczne, drobne tupanie. Ktoś wyraźnie próbował biec.

Już wiedział, choć nie chciał tego rozumieć. Jakiś pusty, na wpół głuchy ucisk w piersi rzucił mu szybką myśl, by wyjść. Ale czemu on? Przecież wrócił do siebie. Nie mógł

się pomylić – znał ten dom. Zbudował go razem z Iwoną. Ile to było lat temu?

Iwona owinięta wielkim ręcznikiem kąpielowym stanęła na schodach. Miała czerwoną twarz i rozbiegane oczy.

– Przepraszam, Piotrze. Nie powinieneś teraz wracać – wyszeptwała. – Dlaczego wróciłeś wcześniej? – zaszlochała. – Zawsze musisz mnie kontrolować, no to masz... – Zawiesiła głos, dławiąc się własną histerią.

Stała zażenowana jak mała, krucha, nieporadna istota. Zdawała się kulić ze wstydu przed własną nagością. Przed sytuacją. Czuła się ośmieszona. Nie wiadomo, czy bardziej w oczach męża, czy kochanka. Ręcznik wisiał krzywo, niezdarnie podtrzymywany przez sine końcówki lekko drżących palców. Lewa pierś zwisała zwykle niżej niż druga, akurat ukryta pod pasiastym materiałem.

– Gdybyś zostawił mi choć trochę więcej swobody, wolną rękę, nigdy bym tego nie zrobiła – załkała. – Ale ty ciągle stałeś za moimi plecami. Nie mogłam oddychać, dusiłam się z tobą... Sam widzisz...

– Tak, widzę... – Umilkł, ale po chwili, tłumiąc krzyk, dodał: – Gdzie dzieci?

– U twojej matki. – Łzy toczyły jej się po policzku.

– No dobra. Nic tu po mnie. Jadę do nich.

Wyszedł. Wolał go nie oglądać, wiedział już wszystko, więc nie było sensu stawać oko w oko z intruzem. Odetchnął świeżym powietrzem. Wsiadł do samochodu, odpalił silnik i włączył radio.

– Tu Program Trzeci Polskiego Radia – powiedziała spikerka miłym głosem.

Przerwał jej, gasząc silnik. Wysiadł. Drzwi trzasnęły z łomotem i wtedy złapał go ten skurcz w klatce, bliski i wyraźny. Próbował w nim odnaleźć radość, dziką przyjemność, lecz nie czuł nic prócz upokorzenia. Co powinien zrobić? Zabić tamtego? Ją? A może po prostu umrzeć tu, w garażu, i pozwolić im się pograżać w poczuciu winy?

*

Pani Rose odchodzi

Dom, nazywany przez większość mieszkańców Saint Gen-
vier *domaine*¹, był duży, ale to nie ma w tej historii zna-
czenia. Zresztą poza Caroline nikt nigdy nie zastanawiał
się nad jego wielkością. Stał w tym samym miejscu od
ponad stu lat otoczony winnicą i stanowił część wzgórza.

Dziewczyna przyjeżdżała tutaj aż do swojej matury
kilka razy w roku, zazwyczaj na Boże Narodzenie, Wielka-
noc i letnie wakacje, czasem na Wszystkich Świętych.
Gdy akurat nie była u babci, obie miały zwyczaj wysyłać
sobie widokówki.

Rose dostawała je za darmo na placu głównym w cen-
trum informacji turystycznej. Zawoził ją tam jej mąż,
Daniel, a kiedy umarł, robił to Marcel.

Marcel był najbardziej kontrowersyjną postacią w po-
siadłości, przynajmniej według Rose, bo wszyscy inni
kochali go za opanowanie i ascetyczne podejście do życia.
Dla niego pocztówki nie przedstawiały żadnej wartości,
bo miasteczko nie zaliczało się do atrakcji turystycznych.
Caroline też nie rozumiała, dlaczego taka kobieta jak
Rose – bogata i z klasą – lubi się dopraszać o te byle

¹ *Domaine* (fr.) – domena, posiadłość ziemska (wszystkie przypisy
pochodzą od autorki, chyba że zaznaczono inaczej).

jakie kartki. Babcia jednak uważała, że należą się jej jak psu micha, bo gdyby nie jej słynny w całej okolicy dom i winnica, wiele osób nie miałoby pracy, w tym miejski fotograf. Wpuszczała go dwa razy w roku na swoje włości i nigdy nie odsyłała z kwitkiem. Robiła tak z powodu oszczędności, z której była znana – szeptano po kątach, że to cecha Polaków.

Róża, bo tak w rzeczywistości brzmiało jej imię, pochodziła z Lublina, lecz w trakcie wojny, w wieku trzynastu lat, została wywieziona na przymusowe roboty do Lubeki. Pracowała w fabryce amunicji aż do wyzwolenia obozu przez aliantów. Wtedy poznała Daniela.

Do ojczyzny już nie wróciła, pozwoliła swojemu ukochanemu zaciągnąć się do jego kraju, gdzie bez oporów przeistoczyła się w obywatelkę Francji. Niewiele mówiła o Polsce, może dlatego, że mało z niej pamiętała.

Ze względu na jej delikatną urodę właśnie w taki sposób przedstawił ją rodzicom: jakby była największym kwiatem, cennym trofeum albo innym wartościowym przedmiotem wywiezionym z kraju jego pochodzenia. Już następnego dnia czuła się w domenie jak u siebie.

Co dziwne, dom nigdy nie wydawał się jej za duży. Przeciwnie – uważała, że jest w sam raz dla rodziny, jaką planowała. Chciała mieć troje dzieci, ale pierwsza, bliźniacza ciąża przebiegła z komplikacjami, a to całkowicie odebrało jej ochotę na kolejnych potomków.

Anne i Ève były trudnymi dziećmi. Jedna stale płakała, a druga płała figle. Na szczęście jedyna wnuczka okazała się spokojnym, radosnym dzieckiem i w odróżnieniu od swojej matki i ciotki chętnie odwiedzała posiadłość.

Wszystko zawsze odbywało się w podobny sposób. Rose pisała kartkę do Caro – bo tak nazywała wnuczkę – jakiś miesiąc przed jej planowanym przyjazdem. Na widokówce było mało miejsca, więc notowała jedynie datę spodziewanej wizyty, a pod spodem umieszczała prośbę o spakowanie niezbędnych ubrań w zależności od pory roku. Pocztówki różniły się tylko listą rzeczy koniecznych do zabrania, choćby takich jak ciepłe buty zimą czy peleryna przeciwdeszczowa latem. Na koniec symbolicznie całowała dziewczynkę, stawiając parę krzyżyków oznaczających całusy.

Ciekawe było, że nigdy nie wspominała o kaloszach. Caroline wiedziała, że jeśli pogoda nie dopisze, kupią je w niewielkim butik, ale w końcu i tak najprawdopodobniej będą tkwiły nieruszone przez całe lato za fotelem na piętrze, w dziecięcym pokoju Caroline – nowiutkie i błyszczące jak wypolerowana rzeźba.

Tylko raz w ciągu tamtych lat padało tak mocno, że ubrudzone błotem kalosze stały codziennie w sieni, aż w ostatnim dniu wakacji umyła je i spakowała do walizki, by razem ze wspomnieniami przedeptanych z Marcelem ścieżek zabrać je do Paryża.

Tamto lato prócz tego, że Caroline po raz pierwszy zabrała ze sobą kalosze, zmieniło wszystko. Rose przestała wysyłać kartki z datą przyjazdu i listą rzeczy do zabrania. Nie zamierzała jednak wyjaśniać dlaczego. Na dworcu, gdy odprowadziła wnuczkę po raz ostatni, powiedziała tylko: „Będzie lepiej, jeśli na dłuższy czas przestaniesz się pojawiać w domenie”.

A potem przyjechał pociąg. Kilka godzin później dwunastoletnia Caro wysiadła w Paryżu i wróciła do mieszkania swoich rodziców z bólem w sercu i tęsknotą do Marcela.

Babcia dotrzymała słowa. Listy, które od tamtego czasu przysyłała z okazji świąt oraz wakacji, były suche jak pieprz i ograniczały się do relacjonowania drobnych plotek w miasteczku, opisywania pogody, wielkości zbiorów i problemów z pracownikami, a czasem nawet sytuacji politycznej we Francji.

*

Teraz Caro zjawiała się w okolicy pierwszy raz od lat. Otoczenie wydało się jej zadziwiająco inne, jakby nigdy nie chodziła ulicami, które dawniej były jej tak bliskie. Jadąc swoim starym peugeotem wzdłuż wzgórza porośniętego gęsto drzewami iglastymi, próbowała zapomnieć, co tym razem ją tutaj sprowadziło. Starła się zachwycić widokami rozległych pagórków rozciągających się na południe. Dom babki majaczył pomiędzy drzewami i wynurzał się zza klonów o srebrzystych pniach.

Stojąc już na podjeździe, pomyślała, że wszystko tutaj wygląda inaczej, nawet okiennice kiedyś były niebieskie, a teraz raziły w oczy brzydkim odcieniem czegoś, co zapewne miało przypominać brąz, a kojarzyło się ze sraczką królika. Ta barwa to ochra, ale tu, w Saint Genvier, Caro nie była młodą prawniczką, lecz znów stawiała się małą dziewczynką. Przeszło jej przez myśl, że gdyby zobaczyła teraz Marcela, nie powstrzymałaby się przed zapytaniem

go, czy też pamięta, jak się śmiali z żółtobrazowej farby, którą jej dziadek kazał pomalować bramę wjazdową i kilkanaście słupków prowadzących przez aleję dębową do samego domu. Ale ktoś musiał uznać, że kolor ten jest idealny, i pokrył nim również okiennice.

Patrzyła na nie z niesmakiem, zastanawiając się, gdzie się podziwiali wszyscy. Nie było żywej duszy. Spojrzała na zegarek i od razu się uspokoiła. Dochodziła pierwsza, a o tej godzinie pracownicy winnicy zwykle zasiadali w biurze, by zjeść obiad. Oczami wyobraźni zobaczyła tam grubego Toma, chudego Erika, Evelyn i jej siostrę, której imienia zapomniała, nie pamiętała też twarzy wielu innych, którzy byli tutaj zatrudnieni dziesięć lat temu. Ciekawiło ją, jak dziś wygląda Marcel i czy on również czasem wspomina, jak chodzili w pelerynach i kaloszach na długie spacery alejkami między winoroślami skąpanymi w strugach deszczu. Po tym deszczowym lecie Rose zabroniła im do siebie pisać i obiecała, że osobiście zadba o to, by ludzie nieprzeznaczeni sobie niepotrzebnie nie tracili energii na zbyt zażyłe relacje.

Rozmyślając o starych czasach, Caroline postawiła walizkę na ganku, a potem zajrzała do garnka pod ławką, gdzie Nadine, pomoc domowa i wieloletnia kucharka, zostawiła dla niej klucz do domu.

Ostrożnie weszła. Wciągając w nozdrza zapach tego miejsca, cicho zamknęła za sobą drzwi. Lustro wiszące w sieni zwróciło jej uwagę, więc zatrzymała na nim wzrok i przyjrzała się swojej szczupłej sylwetce oraz twarzy. Nie była bardzo wysoka, ale najwyższa ze wszystkich kobiet w rodzinie. Tak jak babcia miała piękne, lśniące włosy

i tak jak ona często wiązała je w ciasny kucyk lub w kok na czubku głowy. Miała zadarty nos, podobnie jak matka i ciotka, ale stanowczo mniejszy, co sprawiało, że wyglądała bardziej subtelnie, krucho. Najbardziej lubiła swoje policzki i niebieskie oczy, bo to one powodowały, że przyciągała urodą, a ludzie nieznający jej pochodzenia nazywali ją słowiańską. Nie przepadała za swoim małym podbródkiem, bo zdawał się jej nieco cofnięty, za to kiedy się uśmiechała, niewielkie, ledwie widoczne dołeczki jak dźwignia podnosiły pełne, wydętne policzki. Pomyślała, że ona też – tak jak ten dom – zmieniła się, odkąd była tu ostatni raz. Ciężko westchnęła, po czym podniosła walizkę, przeszła do ciemnego korytarza, zostawiła tam bagaże i skierowała się do kuchni. Od progu wyczuła w powietrzu owsiankę na mleku, w rondlu wciąż tkwiły resztki prażonych jabłek. Uśmiechnęła się i odwróciła ku pozmywanym, równo poukładanym naczyniom. To, co zastała, utwierdziło ją w przekonaniu, że Rose jest pod dobrą opieką. Mimo to dziwna nostalgia wcisnęła ją na taboret ustawiony jak dawniej w rogu. Kobieta zamarła, patrząc przed siebie długą chwilę.

Znała tu każdy kąt, zakamarek, cień przemieszczający się według sunącego za oknem słońca. A jednak nie mogła pozbyć się myśli, że wszystko się tu zmieniło i zmieni jeszcze boleśniej, kiedy babcia śpiąca teraz w swoim pokoju odejdzie. Podniosła się z miejsca i podeszła do schodów, by dyskretnie, nie wywołując skrzypienia desek, dostać się na piętro.

U góry panowała cisza, a wszystkie drzwi były zamknięte, co powodowało, że długi korytarz spowijała

ciemność. Caro otworzyła jedno z nich i zajrzała przez próg. W odróżnieniu od okiennic nikt nie odświeżał tu ścian od lat. Nigdy nie była zachwycona wystrojem pomieszczeń, nie wspominając o ich rozkładzie. Pokoje od strony winnicy były przechodnie i miały tapety w różę, lecz taki sam motyw nie powtarzał się w żadnym z pozostałych. Każdy wyglądał nieco inaczej, ale należało naprawdę dobrze znać wzory, by się nie pomylić, w którym z nich się znalazło. Goście i rzadsi bywalcy nieraz gubili się w wąskich, ponurych korytarzach. Zaglądali tu i tam ze zniecierpliwieniem, nie mogąc trafić do miejsca, którego szukali. Odkrywali za kolejnymi drzwiami mdłe różane ściany i masywne meble o barwie ciemnego orzecha.

Te rupiecie, jak myślała o nich Caroline, zaskakiwały prostotą wiejskiego stylu. Ciężkie kotary na mosiężnych karniszach pod wysokim sufitem zupełnie do nich nie pasowały.

Za to salon na dole urządzony był z przepychem nawiązującym do bogatej przeszłości tego domu przyozdobionego meblami w stylu Ludwika XVI. Nie było nikogo, kogo nie zaintrygowałyby rzeźbione kanapy i wykończenia stołu, ław i foteli. Spora gabłota między oknami przyciągała wzrok skrytą pod warstwą kurzu cenną porcelaną, którą właściciele zawsze chętnie pokazywali. Goście podchodzili do mebla z namaszczeniem, na czubkach palców albo ostrożnie stawiając stopy na podłodze, by pochylić się nad szybą i zostawić na niej swoje oddechy. Z zachwytem przyglądali się figurkom. Nieraz zostawiali na szkle tłuste odciski czoła lub linie papilarne palców, gdy wskazywali przedmiot podobający im się najbardziej.

Kiedy wracali do aksamitnych foteli, posadzka trzeszczała pod naporem ich ciał. Deski pojękiwały stłumionym, grubym głosem, a czasem wydawały z siebie lżejsze, piskliwe miauknięcia.

Każdy przyzwyczaił się do tego dźwięku, z biegiem lat stał się on nieodłącznym elementem domu. Na piętrze podłogi skrzypiały nieco mniej, może dlatego, że wyłożone były miękką i kiedyś jasną, a dziś twardą, brudną albo tylko pociemniałą wykładziną.

Caroline stanęła na progu jednego z różanych pokoi i nadstawiła uszu w nadziei, że wychwyci głosy Nadine albo Carli – Hiszpanki, która niedawno tu zamieszkała, by opiekować się babcią. Podobno do jej zadań należało też utrzymywanie domu w czystości, ale sądząc po ilości brudu dookoła, musiała mieć inne ważne zajęcia. Tak czy inaczej, teraz nie sprzątała, na próżno było więc wytężać zmysły, by usłyszeć dźwięk stawianego na posadzce metalowego wiadra czy poczuć intensywny zapach wylanego w nadmiarze chloru w łazienkach.

Domyślała się, że postać przepadła w ogromnej przestrzeni tego miejsca, i na próżno wytężala słuch, by ją zlokalizować po dźwiękach ciężkiego wózka, którym kiedyś wożono środki czyszczące, ścierki oraz szczotki. Gdy sprzątaniem domu zajmowała się Sylvie, wystarczyło się wsłuchać w stukanie zawsze chaotycznie ułożonych i przesuwających się na wózku sprzętów, lecz w tej chwili wszędzie panowała grobowa cisza.

Caro zaczęło brakować powietrza, więc podeszła do okna, by je otworzyć. Rose podobno na stare lata bała się przeciągów i mówiła, że to one kiedyś ją zabiją – zaduch

panował najwyraźniej dlatego, że pokoje przestały być regularnie wietrzone.

Stojąc przy parapecie, młoda kobieta ujrzała grupę osób wychodzących z biura. Uspokoiła się na myśl, że są tu rzeczy niezmiennie. Winorośle rosną tak samo jak wcześniej, a ludzie oddani temu miejscu pracują z zaangażowaniem.

Chciała wreszcie zobaczyć babcię, bo przecież po to tu przyjechała. Gdy dowiedziała się o jej stanie, spakowała walizkę, by jak najszybciej znaleźć się w domenie. Teraz bezszelestnie przemierzyła pokój, by ostrożnie nacisnąć klamkę drzwi kolejnego pomieszczenia. Weszła do najważniejszej w domu sypialni – należącej do Rose. Babcia leżała z zamkniętymi oczami w dusznym, zaciemnionym kącie, wyraźnie wycieńczona chorobą, wychudzona i błada. Dokładnie taka, jak opisał ją Marcel, gdy kilka dni wcześniej zadzwonił, by zdawkowo powiadomić ją o chorobie babki.

„Powinnaś zjawić się w domenie jak najszybciej” – jego głos w słuchawce brzmiał jak ostrzeżenie przed czymś nieuchronnym.

„Przyjechała już ciotka Ève?”

„Nie, Rose nie chce tu widzieć nikogo poza tobą”.

Powody, dla których babka nie chce żadnych gości, mogły być dwa: jej trudny charakter albo zły stan zdrowia. Tym razem chodziło o to drugie. Zawsze ukrywała wszelkie trudności i każdy o tym wiedział. Wołała rozwiązywać problemy sama, niż się nimi dzielić.

„Przyjadę, jak tylko dostanę urlop”.

„Nie czekaj za długo, bo ona już nie chce nawet jeść. Leży w łóżku i trudno ją namówić nawet na kilka łyżek zupy”.

Gdyby Caroline nie wiedziała, że jest tak źle, to przyglądając się leżącej, pomyślałaby, że babcia śpi i zbiera siły, a za chwilę podniesie się znów pełna energii, gotowa zarządzać wszystkimi dookoła.

Z czułością przypatrywała się śpiącej postaci chrapliwie oddychającej na tle roślin ustawionych za jej głową. Kobieta jednak wyczuła obecność innej osoby, podniosła powieki i słabo się uśmiechnęła. Od razu spostrzegła, jak bardzo wnuczka wydorosłała, choć nadal bardziej przypominała pączek nierozkwitłej róży niż w pełni dojrzały kwiat.

Rose miała ochotę zapytać o to, co się działo u niej w ciągu ostatnich lat. Była ciekawa, jakich ma znajomych, jak spędza wolny czas i czy w ogóle go ma jako pani adwokat zajmująca się niecierpiącymi zwłoki kwestiami prawnymi. Gdyby starczyło jej sił, na pewno spytałaby też o modne miejsca w Paryżu, którego nigdy nie poznała, bo zawsze miała ważniejsze zajęcia niż wycieczki do stolicy. Zresztą przywykła, że to do niej przyjeżdżali ludzie, to ją pragnęły naśladować przyjaciółki, to jej zazdrozczono tego, czego można zazdrościć, i ją obdarzano współczuciem, gdy należało współczuć.

Teraz nawet sama Rose nie chciała już żadnego z tych uczuć.

Uśmiechnęła się do Caro, a ta podeszła, ucałowała ją w oba policzki, poprawiła poduszki i pomogła jej wyżej usiąść na łóżku.

– No, mów, kto tam u ciebie gości – odezwała się bez wstępów, kładąc sobie dłoń na sercu.

Reni E.

Zobaczyłem cię w samolocie. Siedziałaś pod oknem i miałaś na kolanach dwie książki, ale nie czytałaś. Wyglądałaś, jakbyś się nad czymś zastanawiała. Przez moment sądziłem, że chciałbym wiedzieć nad czym, ale kiedy na mnie spojrzałaś i uśmiechnęliśmy się do siebie – może nawet czule albo tylko ciepło – stwierdziłem, że jesteś o krok od zakochania się we mnie, a to skomplikowałoby wszystko. Poczułem, jakby do mojego wnętrza wlała się szklanka ciepłego błota. Marne uczucie – pewnie każdy, kto miał okazję wpaść twarzą w kałużę albo bagno, wie, o czym mówię. Na tę myśl jak oparzony usiadłem sztywno w fotelu, zapiąłem pasy i zamknąłem oczy. U progu naszych krótkich wakacji zdecydowałem, by na ciebie nie patrzeć, więc zamknąłem powieki, ale pozostałaś pod nimi jakąś chwilę. Podniosłem je po kwadransie i z wysiłkiem, gdy samolot już wzbił się w powietrze. Spojrzałem w dół – pode mną przesunął się ląd. Postanowiłem, że my nie będziemy mieć pod sobą żadnego. Nie chciałem dzielić z tobą niczego, na czym moglibyśmy się oprzeć. Ludzie planujący wspólną przyszłość zawsze szukają pod stopami gruntu – czegoś, na czym ją zbudują – a ja nie chciałem swojej łączyć z twoją. To miał być nasz ostatni

weekend, a moim zadaniem było pokierować wszystkim tak, byś jednak się we mnie nie zakochała. Tymczasem siedziałem dwa rzędy za tobą, do tego po skosie, i z łatwością mógłbym cię obserwować, ale to byłby pierwszy błąd – zacząć wierzyć w to, że jesteś na wyciągnięcie ręki, że wystarczy trochę się postarać, a moglibyśmy się spotkać. Naprawdę spotkać. Nie musiałem ci się przyglądać, bo dobrze znałem twoją twarz i bez trudu odgadłbym, kim jesteś, dotykając cię nocą samymi czubkami palców. Lubiłem z tobą przebywać, ale czy nie jest łatwo być z kimś takim jak ty? Twoje doskonałe kształty tylko mi schlebiały – w centrum naszej zawilej relacji stało pożądanie, ale twoja dusza powstrzymywała mnie niekiedy od namiętności. Była zbyt wymagająca. Wiedziałem, że nie jestem w stanie ogarnąć swoim ustrukturyzowanym umysłem targających tobą emocji. Zatem nie mogłem ci pomóc w niczym, co przeżywałaś, ulżyć w tym, w czym się zatraciałaś przez kogoś, kogo – jak twierdziłaś – nie kochałaś.

Siedziałem w tym samym samolocie co ty, bo wymyśliłem sobie, że jeśli nie mogę ci pomóc tak, jak byś chciała, to przynajmniej pomogę, jak potrafię. Pomogę ci zapomnieć, uchylić drzwi i pozwolić wejść w ciemny korytarz, pomogę ci dać wytchnienie oczom, bo wcześniej ktoś ukazał im kolorowy obraz, a potem okazało się, że to tylko atrapa – w żadnym wypadku nie ogród, w który ty uwierzyłaś. Więc miałaś teraz wejść w ten korytarz, zimny i ciemny, ale tak rzeczywisty, że zdecydowałaś się skorzystać z przejścia przez niego.

Tak jak powiedziałem, lecieliśmy na weekend. W dwa dni zachciało mi się pokazać ci obraz i on miał pozwolić

ci się domyślić, że prócz niego nie mam nic do zaoferowania. Tyle mogłem ci podarować. Żadnych podpisów na ekranie, dźwięku, słów, żadnych jasności, obietnic. Niemy film zamknięty w naszym tunelu, korytarzu – czy jak kto potrafi sobie wyobrazić ciąg kilku dni. Wiedziałem, że żyjesz w innym świecie, i bałem się, że będę musiał być cholernie dosadny, byś zrozumiała mój zamysł. Tymczasem rozłożyłem gazetę, a ona opadła gdzieś poza moją świadomością, zanim jeszcze ziemia zniknęła za oknem. Zasnąłem wykończony ciężkim tygodniem pracy i obawą, jak poradzę sobie z tym, że jesteś blisko i że przez kolejne dni będziesz tak bardzo obecna i prawdziwa.

*

Widziałam, jak wszedłeś do samolotu, byłeś chyba jednym z ostatnich pasażerów. Nie siedzieliśmy razem, bo przyleciałeś do Paryża z Warszawy i gdy rejestrowałam się na pokład, ciebie jeszcze nie było. Teraz też nie bardzo chciałam wstać, by się z tobą przywitać, ale nawet gdybym chciała, nie mogłabym. Jean znał wielu ludzi kręcących się po Francji – nie byłoby dobrze, gdybym wpadła na któregoś z nich. Zastanowiłam się, czy w ogóle się cieszę, że cię widzę.

Kiedyś należałeś do mojego świata, ale znajdowałeś się poza tym, co palące i rwące, a potem przeniknąłeś do centrum. Sami nie wiedzieliśmy, jak to się stało. Znalazłeś się w środku mojej skorupy i sądziłam, że to mogłoby być coś wielkiego, coś niesamowitego – trochę wbrew temu, na co wskazywałyby wypowiedziane przez nas

słowa, bo one potwierdzały tezę, że żadne z nas nie zamierza oszaleć z miłości. Tylko moje ciało czasem szalało. I zdawało mi się, że twoje nie pozostaje dłużne. Ale potem cofnąłeś się o krok, może o dwa i wszystko zbladło. Czy istnieje coś bardziej upokarzającego dla kobiety niż mężczyzna, który nie pragnie jej w pełni? A gdy bierze ją w ramiona, ona wie, że się waha, że ma wątpliwości albo że ich zbliżenie nie będzie niczym więcej niż aktem spółkowania. Zapasami, gimnastyką z elementami walki o ciepło lub o ważne, lecz nieuchwytne i rzadkie uczucie, a raczej jego cień rzucony na nagie ciała i wymięte poduszki. Miłość to niestety nie rzeka, do której schodzisz po wodę spragniony. Miłość to nie wiadro, z którego zaczerpniesz, kiedy masz sucho w gardle. Miłość to łyżeczka napoju – zanim włożysz ją do ust, połowę jej zawartości oddasz temu, kogo kochasz. A tak się złożyło, że żadne z nas nie chciało takiego poświęcenia, wysiłku i trudu.

Dlatego lecieliśmy na weekend z pustymi łyżeczkami w bagażu. Może i byliśmy gotowi podstawić je pod nos drugiemu z pytaniem, kiedy i czy w ogóle się napełni, ale ponieważ zdawaliśmy sobie sprawę, że nie damy nic od siebie, woleliśmy nie dociekać, co dostaniemy. Wystarczyło pożądanie – ono w tak wygodny sposób napędza do działania, lecz potrafi być rozczarowujące. Zanim jednak przyszło, patrzyliśmy na siebie pięknie. Łatwo było uwierzyć, że to coś innego niż zwykła chuć. I to coś pchnęło nas ku sobie. Wir, który kręci się długo i cierpliwie, wreszcie zostawia ślad w miękkim piasku dna. A może chodzi po prostu o wirowanie, o napęd, który daje nam poczucie istnienia i który sprawia, że nie rozróżniamy, czy

to już szczęście, czy jeszcze oczekiwanie na nie. To dziwne i niezrozumiałe dla mężczyzny emocje. Oni, dotykając naszych ciał, nie dają się porwać temu wirowi. Wiedzą, że ma potężną siłę, że jeśli się nie zachowa postawy obronnej, zbyt głęboko wślizgnie się do środka i odbierze oddech.

Muszę ci to wyznać: ja straciłam oddech, bo jak go nie stracić, gdy ciało rwie się i pragnie? Nie spodziewałam się nawet w najskrytszych snach, że będę w stanie kogoś tak zwyczajnie pożądać. Chodzi o tę prostą formę pożądania. Wiem, że nigdy nie będziemy parą, nie zadawałam sobie jednak pytania, czy to byłoby niemożliwe, czy naprawdę stoi nam na przeszkodzie aż tyle spraw, ludzi i sytuacji. Ale wiem, bo ty mi to powiedziałaś, zanim sama się nad tym zastanowiłam – a ja ci uwierzyłam.

Zamknięto drzwi samolotu. Zmieniałam ułożenie nóg i oparłam głowę o zagłówek. Właściwie szkoda, że nie zostaliśmy w Paryżu, ale tam na pewno byłoby trudniej się ukryć.

*

Podróż nie trwała długo. Czytałaś niemalże cały czas, a ja przeglądałem gazetę wyrywany z krótkich drzemek. Wstałaś dwa razy, lecz by uniknąć twojego spojrzenia, szybko zamykałam oczy. Na lotnisku odebraliśmy walizki i wypożyczyłem samochód. Od razu zaproponowałem ci wycieczkę. Nie zaprzeczyłaś, mimo że byłaś głodna, bo niewiele jadłaś, ale nie podjąłem tematu, więc dodałaś, że masz ze sobą kanapki. Zjedliśmy więc po jednej w aucie.

Gdy opuszczaliśmy teren lotniska, zgniotłem papier śniadaniowy, wyobrażając sobie, że to resztki ciepłych myśli w twoim kierunku. Zaabsorbowałem się muzyką, bo cisza mi ciążyła, lecz chciałem jej słuchać tym bardziej, im bardziej przeszkadzała tobie. Chciałaś mówić, a ja bałem się słuchać. Doszło do mnie, że boję się nie tylko twojej fizyczności, kobiecości, którą musiałem nieustannie negować, by nie dotknąć cię albo nie pocałować namiętnie, ale też twoich przemyśleń, trafnych spostrzeżeń, historii, które przeżyłaś, i w ogóle całej twojej inteligencji, która – gdyby tylko uchylić wieczko – z przyjemnością zalałaby samochód, a może nawet całe Łazurowe Wybrzeże. Nie żebym miał się czuć głupio, wcale nie. Po prostu nie chciałem nagle wiedzieć, dlaczego tam jestem razem z tobą. Usiłowałem znaleźć odpowiednią muzykę lokalną i to wystarczyłoby mi do szczęścia. Nie udawało się, bo świat dawno został zalany anglojęzyczną szmirą. Słuchaliśmy więc jakichś prostych dźwięków, które nie podobały się żadnemu z nas. Walczyłem z nawigacją i ze sobą, z kapitulacją wobec tego, dokąd dotarliśmy po roku naszych potajemnych spotkań, twoich zwierzeń, hamowania żądzy i ponownego puszczenia jej wodzy. Mówiłem sobie do rytmu głupich piosenek, że zabranie cię tutaj wynikało z dobroci mojego serca, a ja lubię sprawiać ludziom przyjemność – zwłaszcza gdy wpadają w kłopoty, a ty zdawałaś się tkwić w nich po uszy. W akcie przejawu swojej dobroci znalazłem hotel i zapłaciłem za cały ten wypad. Nie wiem, czy wiedziałaś, ale akurat nie miałem kasy na zbyciu w przeciwieństwie do tego twojego Jeana, który jako chirurg zarabia krocie. Tyle

że on zakręcił ci kurek i nie masz nic, ponieważ oddałaś mu całe życie, a żeby było śmieszniej, uważasz, że to on oddał ci swoje. Nawet go usprawiedliwiasz i twierdzisz, że miał powody, by tak się zachować, bo przecież ty byłaś gotowa odejść, gdyby tylko facet, którego odnalazłaś na końcu świata, tego chciał. Oni obaj są dla mnie mierni i mizerni. Nie mieli nic do zaoferowania – nic prawdziwego. Jean już na pewno nie. Korzystał z ciebie całe życie, nie przejmując się tym, czego ci naprawdę potrzeba. Dawał ryby, ale nigdy nie dostałaś od niego pieprzonej wędki. Teraz zabrał ci nawet tę rybę. Dlatego chciałem sprawić ci przyjemność, byś mogła tu przyjechać, a nie zamartwiać się tym, który z nich wyrządził ci większą krzywdę i czy to nie ty czasem wyrządziłaś krzywdę im.

Myśląc o tym wszystkim, wzruszyłem nagle ramionami. Mogłaś uznać to za tik nerwowy, ale tak naprawdę prowadziłem wewnętrzny dialog i w ten sposób dodawałem sobie odwagi. Z każdym uniesieniem ramion byłem coraz bardziej pewien, że fakt zabrania cię tutaj nie znaczy więcej ponad to, że tu jesteśmy. Bez szczególnych wariacji. Bez wielkich powodów. Oboje jesteśmy tylko rozbitkami na tym świecie. Ja tkwię bezpieczny na wyspie, a ty wciąż dryfujesz za tym, czego nie chcesz do końca stracić, bo nie wiesz, jak miałabyś bez tego żyć. Ale to nie moje zadanie ściągnąć cię na ląd, a już na pewno nie na mój. Dlatego obleciał mnie strach. Co ja właściwie robię z tobą w kraju, który ty kochasz, a wobec którego ja jestem obojętny? Co robię tam z tobą, zgłodniałą na ciele i duszy? Co chcę ci dać? Tobie – delikatnej i zmęczonej wszystkim, co cię spotyka? I stwierdziłem, że nie chcę

ci nic zaoferować. Tylko tę dwudniową wycieczkę. Wiem, że ci ciężko, że gdyby tak nie było, znajdowałabyś się gdzie indziej i wiodłabyś swoje dalekie ode mnie życie. Takie jak wcześniej. Nie mogłem sobie pozwolić na sentymentalizm, więc jechałem po cyprysowych alejach i milczałem.

– Mogę otworzyć okno? – zapytałaś niespodziewanie.

– A otwieraj. – Uśmiechnąłem się, patrząc kątem oka, jak wystawiasz głowę na zewnątrz, by poczuć wyraźniej ten dymno-cytrynowy zapach gęstych, strzelistych drzew.

Jesteś ładna, może nawet piękna, ale teraz to już bez znaczenia. Na poprzednich naszych wspólnych wakacjach nie było mowy o pocałunku ani o dotyku. Zazdrościłem wtedy Jeanowi, że ma taką piękną żonę, że może budzić się przy tobie, a ty wtulasz twarz w jego masywną szyję – na tym wyjeździe jednak już nie chciałem cię całować. Jakie to paradoksalne, że pragnąłem cię, kiedy był w pobliżu, a jego nieświadomość burzyła mi jasność myślenia. Co byś zrobiła, gdybym teraz zatrzymał się na uboczu, dał ci pięćset euro i nigdy więcej nie musiał cię oglądać?

W tym samym momencie zaczęłaś mówić coś na temat tego gościa, którego nie widziałem na oczy. Nawijasz o jakimś pajacu z przeszłości, który rozwalił ci umysł na drobne.

– Damian mnie nie interesuje – odparłem i poradziłem, byś nie wczuwała się w swoje bolączki, byśmy oderwali się od codziennych spraw, bo przecież po to tu jesteśmy.

Zgodziłaś się i ucichłaś. Nie sądziłem, że powiesz tak łatwo tym swoim miłym głosem: „dobra, masz rację”. Zwłaszcza że jej nie miałem – miałem za to mnóstwo

problemów w związku ze sprawami zawodowymi. Telefony się urywały, a komplikacje narastały, więc zwyczajnie mogłem mieć zły humor. Znowu ktoś zadzwonił i stanąłem na poboczu. Czekając cierpliwie, aż skończę rozmowę. Wkurzało mnie, że nie narzekasz, i nie wysyłałem się, żeby przyspieszyć jej koniec. Ta twoja dziwna spolegliwość męczyła mnie i moją psychikę. Ale w sumie spędziliśmy miłe popołudnie: zajeżdżaliśmy od portu do portu, gdzie oglądałem kolejne jachty, a ty udawałaś, że też cię interesują. Zrobiłem ci kilka zdjęć na twoje życzenie, lecz nie mogłem ich pstryknąć tak, jak bym chciał, bo musiałbym zbytnio się do ciebie zbliżyć.

Nastał wieczór, a my wciąż byliśmy w drodze. Nie chciałem skonfrontować się z chwilą, kiedy otworzę drzwi apartamentu, a ty spojrzysz na mnie w sposób, który rozłoży mnie na łopatki. Musiałem trzymać się tego wszystkiego, co już wiedziałem. Być może powinienem zabrać cię na kolację, złapać za rękę i powiedzieć, że zachowuję się jak dupek, bo jesteś wspaniałą, piękną kobietą, a ja udaję w obliczu swoich historycznych strachów, że tego nie dostrzegam. Nie mogłem jednak tego zrobić, więc w końcu wracaliśmy do hotelu, gdy zrobiło się bardzo późno, a ty musiałaś być naprawdę głodna.

Zatrzymałem się przed supermarketem. Chciałaś znać plan wieczoru, chyba sądząc, że zjemy coś wreszcie w miłej atmosferze miasta. Po to przecież tu przyjechaliśmy. Odparłem, że żadnego planu nie ma. Włożyłem do koszyka jabłko, ty szynkę, opakowanie małych serków kozich i jakiś pasztet, który w pokoju okazał się czymś o nazwie terrina z mięsa z muszli świętego Jakuba, ale ty ponoć

wiedziałaś o tym od początku. Popiliśmy to wszystko piwem. Potem wzięłaś krótki prysznic i poszliśmy się przejść wzdłuż nadmorskiej promenady. Chciałaś iść na drinka i nawet bym się do tego zmusił, ale ostatecznie żadne z nas nie było dość zmotywowane i zrezygnowaliśmy. Nie chciało nam się stać w głośnym barze i przestępować z nogi na nogę. Kiedy wróciliśmy do hotelu, żartowałaś, że tak to jest, gdy ludzie są koło czterdziestki.

Szybko zasnąłem, a w nocy powtarzałem przez sen zdanie, które miało upewnić mnie w słuszności obranej drogi. TO WSZYSTKO NIC NIE ZNACZY. Obudziłaś mnie, szarpiąc za ramię i żądając wyjaśnień, więc kompletnie zaspany wymamrotałem, że nie mogę być odpowiedzialny za twoje szczęście. Rano nawet o tym nie wspomniałaś – stwierdziłaś tylko, że chrapałem. Jedząc na śniadanie resztki z wczorajszej kolacji, chciałem ci przypomnieć, że nasza relacja nie ma przyszłości, ale byłaś nieobecna duchem. Patrzyłaś za okno, nuciłaś pod nosem piosenkę, więc uznałem, że zrozumiałaś już wszystko, co miałem ci do powiedzenia. Może myślałaś tak samo jak ja? Że jestem ci obojętny i sama nie wiesz, dlaczego pojechaliliśmy tam razem? To mnie nawet przeraziło, a gdy poszliśmy do miasta i chciałaś się rozdzielić chociażby na godzinę, poczułem, że to musi być prawda. Że żałujesz tego wspólnego wyjazdu. Nie pozwoliłem ci na kręcenie się samej po centrum. Bez entuzjazmu chodziłaś więc ze mną po męskim dziale z kurtkami i koszulami, doradzając od niechcienia, w czym wyglądam przyzwoicie. Nie ukrywałaś przy tym znudzenia. Wyszliśmy po jakiejś godzinie, a ja na nic się nie zdecydowałem.

W drodze do hotelu kupiłaś buty. Pomagałem ci wybrać kolor i wyobraziłem sobie ciebie idącą w gorące popołudnie na plażę szerokim bulwarem – może nawet takim, jaki widzieliśmy tutaj z okna – w letniej, zwiewnej sukience i w tych butach na zabawnie zwiniętym sznurku. Nie powiedziałem ci, że masz ładne stopy, zapewne o tym wiesz. Poza tym to byłoby sprzeczne ze wszystkim, co już postanowiłem.

Koło południa, kiedy pojechaliśmy na wycieczkę, nie próbowałaś nawet się odzywać. „Tym lepiej” – myślałem. Nie byłaś tak chętna jak poprzedniego dnia, by bez przerwy zajeżdżać do portów, i czułem, że grymasisz, nie miałaś jednak wyboru, w końcu to ja wypożyczyłem samochód. Późnym popołudniem kupiłaś nam kanapki, ale nie zgodziłem się zostać na murku i ich tam zjeść. Oznajmiłaś, że nie obchodzą cię pozory i że jest ci obojętne, za kogo weźmie cię jakiś przechodzień. Masz wysokie poczucie własnej wartości – to coś, z czym ja się zmagam. Nie spotykam wiele kobiet takich jak ty, tylko takie stale uważające na to, co ktoś o nich pomyśli.

Wreszcie zjedliśmy te kanapki, idąc w kierunku przystani, a potem usiedliśmy w restauracji z wielkim, zalany słońcem tarasem i cudownym widokiem. Ja wypiliśmy kawę, a ty – martini. Nic nie mówiliśmy. Choć nie! Chciałem zaraz iść, bo kawa szybko się skończyła, ale stwierdziłaś, że wolisz posiedzieć, bo jak dojedziemy w kolejne miejsce naszej wycieczki, będzie już zimno i tylko teraz możesz się wygrzać w słońcu. Przysłałem na to i po raz pierwszy się odprężyłem. Tkwiliśmy na tym tarasie chyba z godzinę, a wydawało mi się, jakbyśmy

spędzili tam wieczność. Przez dłuższy czas czekałem, aż o coś zapytasz, i układałem w głowie, co ci odpowiem, lecz nie zrobiłaś tego. Odniosłem wrażenie, że się trochę wycofałaś, że nie masz żadnych oczekiwań, i to było nieprzyjemne uczucie.

*